Świat powieściowy.

Nr. 148 Tygodnik belletrystyczny. Rok III.

Zaklęty i Odczarowany

(Ciąg dalszy.)

Paweł czekał tuż w gęstwinie u stoku góry od pół godziny. Krzaki, mimo iż z liści odarte, mogły ich zasłonić dostatecznie przed wzrokiem niedyskretnym ciekawych. Paweł był zresztą w stroju myśliwskim, z torbą przez plecy zawieszoną, żeby módz w danym razie upozorować polowaniem, zetknięcie się przypadkowe, i Lily chroń Boże, nie skompromitować! Przywitali się serdecznem ręki uściśnieniem, niby dwaj spiskowcy, schodzący się dla narady wspólnej.

— Jakże się cieszę widząc pana żywego! — zawołała Lily ze zwykłą u niej szczerą naiwnością.

— Stokroć lepiej byłoby mi pod ziemią! — odrzucił Paweł tonem grobowym.

Lily w oczy mu spojrzała. Wyglądał istotnie bardzo blado, ale jak mu z tem było do twarzy! jak go to robiło interesującym! O! daleko jej się lepiej podobał w tym nastroju smętnym, bajronicznym, niż z rumieńcem pospolitym i ze śmiechem wesołym na ustach. Oko mu wreszcie żywiej błysnęło i spytał bez ogródki:

— Cóż droga pani? Czyś dotrzymała obietnicy? Przychodzisz-że z promykiem nadziei, ze słówkiem łaskawem dla mnie od pani Hertenstein?

Młode dziewczę z powagą wielką główką potrząsło.

— Ależ panie baronie! tak nagle nie można spraw ważnych załatwiać! Anna ma silną wolę... nawet trochę uporu... Mówiłam z nią o panu... i jeszcze mówić będę!...

— Mówiłaś z nią pani? O! jesteś aniołem dobroci! — krzyknął Paweł z zapałem.

Wielce ją ten kompliment po sercu pogłaskał. Inaczej to brzmiało, niż siostry słowa: „Dzieciakiem jesteś i wściubiasz się tam, gdzie cię nie potrzeba!“ Zaczęła więc rozwodzić się przed Pawłem, że musi uzbroić się w cierpliwość, nie tracąc przytem nadziei, że może... może ... da się jeszcze coś zrobić... Myślała w niewinności ducha, iż Bóg wie z jaką dyplomacją poczyna sobie, niestety Paweł był nadto w tych sprawach doświadczony, aby dać się tak łatwo w pole wyprowadzić. Rzucił jej kilka pytań z nienacka, szyki mieszając i otrzymał szczerą odpowiedź, która mu całą prawdę odkryła. Twarz na chwilę rozjaśniona, znowu się smutkiem ponurym przyoblekła.

— Nie trudź się pani daremnie! — rzekł z goryczą — i nie przedłużaj mojej męki, łudząc płonną nadzieją! Widzę jasno, iż pani Hertenstein jest nieubłaganą, i mnie bez litości oddaje na łup rozpaczy!

Ruchem gwałtownym ścisnął kolbę od strzelby bez żadnej złej myśli, Lily jednak krzyknęła przeraźliwie, chwytając go kurczowo za ramię.

— Nie rób pan tego! Przez miłosierdzie Boże, daj pan temu pokój!

— Co się stało? — spytał Paweł zdziwiony. — Czego nie mam uczynić?

— Nie zastrzel się pan! — zaszlochała — i to jeszcze tu! w moich oczach! Ach! to okropność!

Przypomniał sobie zdanie, które był objawił w pierwszem rozdrażnieniu i bolu gwałtownym. Zrozumiał, iż słowa jego na wiatr rzucone, Lily wzięła całkiem na serjo, a ta trwoga o jego życie wzruszyła go do głębi. Spróbował zatem uspokoić przelęknioną, ale nadaremnie; nie ufała jego zaręczeniom.

— Wykonasz pan zamiar zbrodniczy później, jeżeli ci teraz do tego przeszkodzę! — główką potrząsła. — Oddaj mi pan strzelbę!

— Ależ pani! — Paweł chciał protestować.

— Oddaj mi ją pan natychmiast! — powtórzyła z całą energją, a gdy nie śmiał oprzeć się rozkazowi, wzięła ostrożnie w obie ręce broń morderczą, postąpiła szybko aż ku fosie, górę zamkową opasującej i strzelbę rzuciła w nią z całej siły. Ciężar z góry spadając, przebił cienką lodu powłokę i broń tonąć zaczęła. Uszczęśliwiona tak genialnym pomysłem, nie przypuszczając w swojej dziecięcej naiwności, że Paweł mógłby znaleźć w zamku więcej jeszcze broni śmierć niosącej, odwróciła się teraz z całą powagą matrony, tak z wieku jak i z doświadczenia, prawiąc mu długo i szeroko, jak zbrodniczemi są myśli podobne, jak Bóg ciężko karze samobójców, skazując ich na wieczne potępienie, na katusze piekielne, które mu w końcu najdosadniej odmalowała.

Paweł oniemiały, wpatrywał się w dziewczę młodziutkie, dziwiąc się niesłychanie tej wymowie pełnej namaszczenia, temu kaznodziejskiemu zapałowi! Zapomniał na razie, iż Lily jest Wilmuta bliską krewną, powtarza zatem jak papuga, co jej się z częsta o uszy

obijało. Że jednak opis mąk piekielnych zostawiał go niestety zimnym zupełnie, nie wywierając nań skutku pożądanego, bawił się tymczasem porównywaniem Lily z jej starszą siostrą.

Twarzyczka świeża jak pączek róży, ślicznie wyglądała w kołpaczku z popielatych baranków astrachańskich. Podczas tego kazania, przy ruchu żywszym, jeden z bujnych, ciemnych warkoczy, odpiął się i na pierś opadł, do kolan niemal sięgając. Nie był to jednak ów włos cudowny, włos prawdziwej *Loreley*, połyskujący chwilami, niby złota roztopionego kaskada. Czemże były oczka ładne wprawdzie, czarne, błyszczące całą swobodą i figlarnością dziecięcą, w obec tamtych źrenic, tak głębokich, tajemniczych, niby w łzie skąpanych, pociągających ku sobie prądem magnetycznym z pod rzęs gęstej osłony. To porównanie właśnie wykazało młodzieńcowi, jaki skarb utracił i ból srogi ścisnął go za serce na nowo. Westchnął ciężko, gdy kazanie się wreszcie skończyło i odrzekł tonem wielce żałośnym:

— Pani dotąd zapewne nie doznałaś zawodu w miłości, nie możesz zatem pojąć, co to znaczy i do jakiej nas rozpaczy doprowadza!

Lily istotnie nic podobnego w krótkiem życiu nie doświadczyła, wyobrażała sobie jednak, iż musi to być czemś bardzo smutnem, bo zaraz zmieniła ton napominający, na słowa najczulszego współczucia i pocieszania. Paweł nie okazał się dzięki Bogu pod tym względem nieprzystępnym i zupełnie zakamieniałym, gawędzili więc z sobą w najlepsze, gdy naraz pomiędzy krzakami ukazała się postać wyniosła mężczyzny, w czarnem futerku skankowem.

— Mój stryj! — zawołał Paweł zdziwiony, gdyż po raz pierwszy baron Rajmund z zamku wyszedł. Lily w trwodze śmiertelnej wahała się pomiędzy strachem, a palącą od dawna ciekawością, żeby raz spotkać się oko w oko ze sławnym potworem z Felseneck. gdy stała tak niepewna, czy ma uciec, czy też śmiało zostać na miejscu, nadszedł ordynat. I on zdziwił się niemniej, zobaczywszy bratanka w towarzystwie młodej damy, osobiście zaś, spotkanie z kimś zupełnie obcym, było mu widocznie bardzo niemiłem.

— Tyś tutaj Pawle?—spytał zimno, czapkę cokolwiek uchyliwszy.

— Spotkałem się przypadkiem z panną Wilmut — odrzekł Paweł z naciskiem, gdyż szło mu o to przedewszystkiem, aby na młode, niedoświadczone dziewczątko, nie ściągnąć podejrzeń ubliżających. — Jest dziś na probostwie w Werdenfels.

Rajmund uderzony temi słowami, wiedząc dobrze, iż jedna tylko rodzina Wilmutów znajduje się w całej okolicy i zapamiętawszy, że Anna Wilmut miała siostrę młodszą, zwrócił na Lily wzrok badawczy i szybko ku niej postąpił.

Tego jednak było za wiele dla tej biednej główki, pełnej przywidzeń i strachów zabobonnych, dzięki staremu ogrodnikowi Ignacemu i wpływowi panny Hofer. Naraz stanęły jej w myśli wszystkie gadki i bajki niedorzeczne, o upiorach krew ssących, o właściwości szatańskiej i szczególnemu upodobaniu ordynata w ukręcaniu głowy po prostu tym, którzy zasłużą na jego niełaskę i przerażona zrejterowała czemprędzej za Pawła plecy, wpatrując się w barona Rajmunda oczami tak błędnemi, tak niemal bezprzytomnemi, iż młody człowiek, zakłopotany i w najwyższym stopniu pomięszany, sam nie wiedział co mówić i jak jej czyn przed stryjem tłumaczyć.

Na ustach Rajmunda pojawił się uśmiech gorżki i sarkastyczny, na ów objaw dosadny wstrętu i trwogi nieprzezwyciężonej.

— Nie lękaj się pani! — rzekł lodowato — i nie szukaj tak trwożliwie opieki i pomocy u mojego bratanka! Uwolnię cię natychmiast od mojej wstrętnej osobistości!

Oddalił się to powiedziawszy i zniknął w gęstwinie.

Po dłuższej chwili wysunęła się wreszcie Lily z ukrycia, jeszcze trochę drżąca, i rzekła nieśmiało:

— Jaka ze mnie jeszcze głupia dziewczyna! nieprawdaż?

Paweł może i myślał tak samo, był jednak nadto dobrze wychowanym, aby równie niegrzeczne mniemanie, głośno w obec damy objawić. Zawołał więc tylko:

— Dla czegoż, na miły Bóg! tak się pani stryja mego obawia? Pamiętam, żeś mi z samego początku zadała pytanie, którego do dzisiaj nie umiem sobie wytłumaczyć.

— Właściwie — spuściła oczka, zmięszana i zarumieniona — wyobrażałam go sobie zupełnie inaczej... Podobny całkiem do... do... do człowieka... tylko ta bladość straszliwa!...

— A do czegoż ma być podobny?! — Paweł wzruszył wreszcie niecierpliwie ramionami. — Coś pani sobie uroiła za obraz potworny w bujnej fantazji o baronie Rajmundzie?!

Lily nie śmiała spojrzeć mu w oczy. Nie wiedział widocznie nic a nic, o pogłoskach krążących między ludem okolicznym, o dziedzicu i panu na Werdenfelsie, a na tyle miała przecie wrodzonej delikatności, żeby z czemś podobnem nie wyjechać przed bliskim krewnym ordynata. Urwała zatem drażliwą rozmowę, jak i wtedy po raz pierwszy w tem samem miejscu, oświadczając uroczyście: „iż musi wracać na obiad.“

— Odchodzisz więc pani, zostawiając mnie bez promyka nadziei, pogrążonego w bezdennej rozpaczy! — wykrzyknął Paweł patetycznie, przypomniawszy sobie rolę, którą mu wypada odgrywać dalej.

— A cóż mam począć?! — Lily głową smętnie potrząsła. — Wszak pan sam objawiłeś przekonanie, iż siostra moja wytrwa przy swojem „nie“ i niczem wzruszyć, ani zmiękczyć się nie pozwoli!

— Potrzebuję jednak pociechy, podpory w mojej niedoli. — Paweł oświadczył kategorycznie — a pani dobroć, jej słówka łaskawe, takim były balsamem na rany serca mojego! Skoro nie będę mógł tak rychło

znowu się z panią zobaczyć, pozwól mi przynajmniej pisywać od czasu do czasu.

— To możesz pan uczynić! — zapewniła Lily, znajdując, iż byłoby istnem okrucieństwem, odmawiać nieszczęśliwemu i zwątpiałemu, tej nawet tak drobnej pociechy! Podała mu rękę, uważając z zadowoleniem, iż tym razem podniósł ją do ust i serdecznie ucałował.

— Dzięki! stokrotne dzięki! — szepnął wzruszony. — A teraz... żegnaj mi pani!

— Żegnam pana! — powtórzyła Lily, dumna okazanem jej zaufaniem i pocałunkiem złożonym na jej ręku. Następnie rozeszli się każde w swoją stronę.

Baron Rajmund tymczasem szedł dalej krokiem wolnym, nie mogąc pokonać przykrego uczucia, z powodu trwogi tak jawnie mu przez młodą dziewczynkę okazanej. Jakiemiż baśniami niedorzecznemi, napełniono widocznie tę biedną główkę, kiedy taki lęk dziecinny wywołało same ukazanie się jego! W miejscu, gdzie drogi się rozchodziły, stanął w ponurem zamyśleniu, wahając się, czy iść dalej, czy też napowrót do zamku nawrócić. Przesunął wreszcie dłonią po czole i szepnął głucho:

— Do czegoż mnie doprowadzi ostatecznie takie chowanie się i przed ludźmi zamykanie? Kość rzucona! Skoro zacząłem.... muszę wytrwać do końca! Idźmy dalej!

Ku wsi istotnie kroki skierował. Naraz stanął jak wryty, spotkawszy się na drogi zakręcie, oko w oko z Wilmutem, który tędy wracał z młyna na probostwo.

Chwilę patrzyli na siebie w milczeniu, ksiądz wreszcie odezwał się pierwszy tonem lodowatym:

— Pan baron!... Wiedziałem już o pańskim przyjeździe do Werdenfels.

— Nie myślałem bynajmniej utrzymywać faktu tego w tajemnicy — ordynat tym samym tonem odpowiedział. — Szedłem właśnie do księdza dobrodzieja.

— Do mnie? Dla czegoż dzisiaj?!

— Cóż w tem tak dziwnego? Czy w tym dniu może, ksiądz proboszcz więcej niż kiedy indziej zatrudniony?

Podejrzenie Wilmuta zniknęło, gdy przekonał się, że ordynat ani się domyśla, kogo ma dziś na obiedzie. Bądź jak bądź wypadało mu trzymać barona Rajmunda jak najdalej od probostwa.

— W takim razie spotkanie nasze powinno być na rękę panu baronowi — odrzekł obojętnie. — Proszę mówić, jesteśmy i tu sami zupełnie, mogę zatem wysłuchać interesu, jaki do mnie prowadził pana barona.

Wyprostował się, patrząc z góry na ordynata, z tą samą nieubłaganą surowością, z jaką zwykł był słuchać w konfesjonale spowiedzi swoich skruszonych owieczek; baron Rajmund atoli nie wyglądał zupełnie na grzesznika żałującego. Skrzyżował na piersiach ręce i przemówił z lekkim odcieniem sarkazmu:

— Wiedziałem, że do zamku ksiądz proboszcz przyjść nie zechcesz na moje wezwanie, dla tego nic mi nie pozostało, jak odwidzieć w jego własnym domu miejscowego duszpasterza, zdaje mi się jednak, iż ksiądz dobrodziej mylisz się z gruntu co do interesu, z jakim szedłem do niego.

— Wątpię bardzo! Jedno tylko mogłoby sprowadzić do mnie pana barona. Długo trwało wprawdzie, zanim pan baron raczył się namyśleć, aż całych lat sześć, jednak powrót, póki żyjemy, jest zawsze możliwym. Chce zatem pan baron to uczynić, czego przedtem tak stanowczo odmawiał?

Słowa jak i postawa mówiącego, nie wyrażały bynajmniej tryumfu, odzywała się w nich tylko pewność księdza surowa, nieubłagana, iż każdy prędzej czy później, musi nagiąć karku pod jego jarzmo. Rajmund drgnął i podniósł głowę z wyrazem dumy niezrównanej, która go tak nieprzystępnym czyniła dla ogółu, a głos brzmiał śmiało i donośnie, gdy rzucił odpowiedź Wilmutowi:

— Nigdy!

— Nigdy? — ksiądz rzekł ostro. — W takim razie doprawdy nie pojmuję, co mogło pana barona do Werdenfels sprowadzić?

— Czyż potrzebuję na to pozwolenia od proboszcza — Rajmund roześmiał się ironicznie — żeby w moim własnym zamku zamieszkać?

— O! jesteś baronie w zamku panem wszechwładnym... Wieś atoli i parafianie do mnie wyłącznie należą!

— Którymi rządzisz księże proboszczu z despotyzmem niepraktykowanym! Doświadczyłem tego!

— Spełniam ściśle powinność kapłańską! — Wilmut każde słowo ostro akcentował — i wymagam również od moich parafian, aby trzymali się we wszystkiem przykazań kościelnych. Nie chciałeś panie baronie zastosować się do tych kościelnych rozporządzeń, wiedząc dobrze, iż pod tym tylko jednym warunkiem, mogłem podać rękę do zgody.

— I księdzu proboszczowi nie powinno być tajno, iż tak hańbiącego warunku przyjąć nie mogę! Cokolwiek bądź się stanie, tego się księże nie doczekasz, żeby widzieć pana na Werdenfelsie, w prochu u nóg twoich!

— Pychę! pychę szatańską, panie baronie, trzeba zrzucić z serca i ją w proch zetrzeć! — kapłan odrzekł nieporuszony. — Pierwszy to krok do pokuty! Pycha jest wadą dziedziczną w rodzie waszym. Jakkolwiek mało jest w tobie podobieństwa, panie baronie, tak do ojca, jak do innych przodków twoich... w tem jednem jesteś nieodrodnym Werdenfelsem!

— Księże proboszczu! nie nadużywaj sukni kapłańskiej, aby rzucać mi w twarz bezkarnie obelgi! — wpadł mu w słowo ordynat głosem drżącym od gniewu. — Wiem, że ta wasza sutanna, to płaszczyk nader wygodny, którym niby tarczą się zasłaniacie, proszę jednak nie doprowadzać mnie do ostateczności, bo mógłbym o tem zapomnieć!

— Jabym w takim razie przypomniał panu baro-

nowi, coś winien sukni duchownej! — Wilmut oświadczył z namaszczeniem. — Obrazić może tylko nam równy, a nie sługa Boży, który przemawia w imię Pana nad Pany, ma więc prawo wszelkie żądać, aby słowom jego oddać cześć należną i przyjąć takowe w pokorze.

Rajmund starał się opanować burzę w piersi wrącą.

— Nie sprzeczajmy się wreszcie o czcze słowa! Nie przyszedłem dysputować z księdzem proboszczem, tylko chcę mu zadać jedno pytanie, na które żądam kategorycznej odpowiedzi, czego nie możesz mi odmówić. Jego to dłoń żelazna szczęście mi wydarła, teraz chciałbym się dowiedzieć, czy ta sama dłoń wymierzyła i cios śmiertelny, niszczący słaby promyk nadziei, jaki jeszcze w sercu żywiłem. Ów list ostatni, który do Anny Wilmut pisałem, został nierozpieczętowany skazany na całopalenie?

— Tak jest, ale kto panu baronowi mógł donieść o tem? Byłem sam na sam z moją krewną, gdy to się stało.

— Byłeś więc przy niej księże? Oto jedno spytać chciałem! Moja narzeczona byłaby wysłuchała ostatniej mojej prośby! Twojem to było dziełem, iż ten list w ogień nieczytany poszedł! A może będziesz na tyle bezczelny i powiesz mi do óczı, iż Anna dopuściła się tego z własnej woli?

Wilmut spojrzał na barona. Teraz dopiero wzrok księdza zapłonął tryumfem, a w słowach odzywała się radość dzika.

— Nie! Nigdy w życiu nie zaprę się prawdy! Anna przyrzekła mi uroczyście, iż więcej listu od pana barona czytać nie będzie. Byłem przy niej, gdy pismo pańskie jej wręczono i przypomniałem obietnicę. Sam list z jej rąk odebrałem i sam rzuciłem go w płomienie!

Rajmund odetchnął całą piersią, jakby mu kamień spadł z serca.

— Była więc do czynu tego zmuszoną! Domyśliłem się tego, chociaż Anna pytanie moje pokryła milczeniem!

— Anna? — Wilmut powtórzył. — Co znaczą te słowa panie baronie? Czyś później widział się i rozmawiał z panią Hertenstein?

— Tak jest! — Rajmund odrzucił lodowato.

— Gdzież to i kiedy?

— Z tego nie winienem księdzu proboszczowi zdawać rachunku! Proszę Anny zapytać. Nie odmówi zapewne i opowie spotkanie nasze ze szczegółami przed surowym ojcem duchownym.

— Zapytam! — bąknął Wilmut z czołem chmurnem. — I potrafię wymódz na niej odpowiedź!

— Ani chwili o tem nie wątpię! Tymczasem zaś dziękuję stokrotnie księdzu proboszczowi za wiadomość tak dokładną, a na której mi bardzo zależało. Żegnam!

Chciał odejść, Wilmut jednak drogę mu zastąpił.

— Jeszcze słówko panie baronie... czy myślisz zamieszkać stale w Werdenfels?

— Na razie... w zamku pozostanę...

— Jakże mamy to sobie wytłumaczyć, ja i moi parafianie?

— Jak wam się będzie podobało! — odpowiedź brzmiała dumnie, niemal wyzywająco.

— Czy to panu baronowi jest tak zupełnie obojętnem? Powinienbyś się zastanowić, iż nie jesteś tutaj tak nietykalnym, jak w murach warownych zamku w Felseneck!

— Czemu ksiądz proboszcz nie sformułujesz dobitniej swoich pogróżek? — przerwał mu ordynat. — Ma więc rozpocząć się na nowo walka zacięta, którą raz już z sobą stoczyliśmy? Byłem do niej przygotowany opuszczając Felseneck.

— I zapewne tym razem, spodziewa się pan baron wyjść z niej zwycięsko?

— Przynajmniej wytrwać do końca, jakikolwiek by obrót wzięła!

Ksiądz zmierzył wzrokiem pogardliwym „marzyciela nieuleczonego“, któremu naraz przyszedł kaprys, rozwinąć niezwykłą siłę woli i energję. W spojrzeniu malował się gniew srogi, a jednocześnie i lekki odcień zaciekawienia zjawiskiem nadzwyczajnem.

— Rozmowa — uśmiechnął się Wilmut ironicznie — musiała być niesłychanie ważną i treściwą, skoro natchnęła pana barona usposobieniem tak wojowniczem, nie licującem zupełnie z pańską naturą marzycielską. Nie łudź się panie baronie śmiercią prezydenta Hertenstein. Tego, co się stało, nie wymażesz z pamięci jego wdowy, tak samo jak u Anny Wilmut nic nie wskórałeś! Jestem od lat dziecięcych jej stróżem i opiekunem. Cokolwiek byś przedsiębrał, zastaniesz mnie zawsze na straży u jej boku!

— Obejdzie się bez tej kurateli! — Rajmund gorzko odrzucił. — Postarałeś się naprzód księże proboszczu, żebym nie mógł w ogóle nic przedsiębrać! Ta jednak obecna rozmowa, wykazała mi jasno i dobitnie, iż zostaniemy czem byliśmy od dawna... wrogami śmiertelnymi do naszego tchnienia ostatniego!

Dotknął z lekka czapki, zaledwie głową skłoniwszy, i dumny, nieugięty, zawrócił na ścieżkę do zamku prowadzącą. Wilmut stał przez chwilę nieruchomy, utonąwszy w zadumie głębokiej; ocknął się wreszcie i szepnął głucho, przez zęby kurczowo ściśnięte:

— Więc przecie z nim mówiła!... A ja o tem do dziś dnia nic nie wiedziałem!

. . . .

Lily wróciła na obiad punktualnie. Z duszy byłaby chciała opowiedzieć spotkanie nader interesujące z wampirem z Felseneck, mimo iż tak haniebnie stchórzyła w obec niego, musiałaby była atoli przyznać się jednocześnie do schadzki pod górą zamkową, a tego bynajmniej sobie nie życzyła. Młode dziewczę kłamać nie umiało, wykrętów dyplomatycznych nie znało, żeby się więc z czem niepotrzebnem nie wygadać, wolała

wszystko pokryć milczeniem. Rozmowa podczas obiadu nie odznaczała się w ogóle wielkiem ożywieniem, proboszcz wrócił dziwnie rozstrojony ze swoich odwidzin u chorego i zaledwie bąknął jakie słówko od czasu do czasu, Anna zachowywała również uparte milczenie, tak więc na ramiona panny Hofer spadł cały ciężar rozmowy, z czego też ona wywiązywała się nader sumiennie.

Skoro wstali od stołu, Wilmut oświadczył Annie, iż ma z nią o czemś ważnem pomówić na osobności i zaprosił ją do kancelarji, drzwi za sobą starannie przymykając.

— Oho! będzie burza najniezawodniej! — Lily główką potrząsła — Gdy kuzyn Jerzy tak czoło marszczy i tak z pod brwi ściągniętych patrzy ponuro, bierze mnie zawsze ochota drapnąć czemprędzej, daleko! daleko! choćby na kraniec świata, byle jemu zejść z oczu! Nie zazdroszczę Annie tej miłej pogadanki w cztery oczy!

— Tyczy się zapewne jakichś spraw materjalnych — panna Hofer zauważyła. — Tyle jeszcze zostało do rozgmatwania po śmierci pana prezydenta, a proboszcz zajmuje się wszystkiemi pani Hertenstein interesami.

— Tak! tak! miesza się i wtyka nos wszędzie, gdzie go nie potrzeba! — Lily zawołała z okrutnym rezonem. Skoro drzwi się zamykały i proboszcz znikał za niemi, stawała się odważną niesłychanie! — Odkąd Anna owdowiała, wziął ją znowu, tak jak niegdyś, w ścisłą kuratelę!

Panna Hofer uśmiechnęła się nieznacznie.

— Myślę, iż pani Hertenstein tylko do pewnego stopnia pozwala sobą powodować. W tak młodym wieku rzecz całkiem naturalna, iż w braku innej opieki, poszukała pomocy i oparcia u tak bliskiego kuzyna.

— Pan Freising jest przecież jej prawnym zastępcą i poniekąd opiekunem — Lily uparcie przy swojem obstawała. — Na cóż jej potrzebną być może księdza Jerzego nieznośna kuratela?! Biedny wujcio Freising, ze swoją kolekcją koszyków! Wyglądał jeszcze nader żałośliwie, gdy wczoraj ukazał się w Rosenberg. Pocieszałam go też jak mogłam, z sił całych!

— O! pewnie! Swawoliłaś, drwiąc z niego w najlepsze! — odrzuciła panna Hofer z surową wymówką. — A to przecież zasługuje na najwyższe uznanie, iż niczem niezrażony, chce i nadal pozostać w obec pani Hertenstein najpoczciwszym i wiernym jej przyjacielem.

— Mimo wysokiego szacunku, numer czwarty! — Lily śmiechem wybuchnęła. — To przecież rzecz okropna, zawsze tylko znajdować szacunek tam, gdzie się żony szuka! Ty bo panno Emmo, jesteś dla wujcia niemiłosierną! Znowuś się z nim wczoraj na piękne pokłóciła.

— Tak jest! — panna Emma przyznała z wewnętrznem zadowoleniem. — On atoli pierwszy kłótnię rozpoczął.

W kancelarji księżej tymczasem zbierała się owa burza, przez Lily przepowiedziała. Anna umiała również doskonale czytać w oczach kuzyna, skoro więc drzwi przymknął, spytała zaniepokojona:

— Co ci się Jerzy przydarzyło? Jesteś najokropniej rozstrojony. Zauważyłam to, skoroś z młyna powrócił.

Stanął przed nią w groźnej postawie i cisnął jej w oczy, bez wstępu najmniejszego:

— Spotkałem się z ordynatem Werdenfels!

Anna zmieniła się na twarzy, odrzekła jednak z pozornym spokojem:

— Istotnie?... Jak słyszę, dotąd z zamku nie wyjechał, nigdzie się jednak za obrębem tegoż nie pokazując...

— Otóż pokazał się dzisiaj... i to w zamiarze oddania mi wizyty!

— Tobie?!

— Czy ci się to wydaje tak nieprawdopodobnem?

— O ile znam barona... niezawodnie!

— A ty ma się rozumieć, znasz go najlepiej i najdokładniej! Zgadłaś!... nie szedł bynajmniej jako grzesznik, chcący za winy popełnione pokutować, ale przy tej sposobności dowiedziałem się czegoś nader ciekawego! Widziałaś się z nim i rozmawiałaś nie dawno temu! Dla czego o tem mi nic nie wspomniałaś?

Ton szorstki i surowość nieubłagana, odbijająca się w tem pytaniu, obudziły w młodej kobiecie poczucie własnej godności. Z dumą głowę podniosła, równie ostro odpowiadając:

— Bo nie jestem już dzieckiem, abym miała zdawać ścisły rachunek z każdego kroku i słowa! Racz o tem nie zapominać!

Ksiądz nie okazywał wielkiej ochoty do zmiany w czemkolwiek. Musiał jednak doświadczyć niejednokrotnie, iż brutalnością i despotyzmem nie wiele tu poradzi i że są pewne granice, po za które władza jego nie sięga, gdyż spuścił z tonu i łagodniej przemówił:

— Nie otrzymam zatem odpowiedzi?

— I owszem... skoro będziesz prosił, a nie rozkazywał...

— A więc.. gdzie i kiedy z nim się zeszłaś?

— Przypadkiem... Dnia owego, gdyśmy się oboje wybrali w góry do Mattowej. Tyś przy sankach wywróconych pozostał, a jam pobiegła do leśniczówki, aby ci przysłać ludzi na pomoc. Po drodze traf mnie sprowadził z Rajmund... z ordynatem Werdenfels.

— I przy tej sposobności dowiedział się o twojem owdowieniu! — Wilmut odezwał się zjadliwie. — To tłumaczy zupełnie jego nagłe pojawienie się w Werdenfels!

Anna głową potrząsła, przecząc temu stanowczo.

— Mylisz się, mnie on nie szuka! Dlaczegoż by jednak nie miał się zbliżyć do ludzi, którzy go tak nielitościwie odepchnęli?! Jerzy, jesteś wszechwładnym, nie tylko w twojej parafji, ale w całej okolicy; jedno twoje słowo daje hasło do walki lub pokój przynosi. Chcesz-

że wystąpić znowu z taką surowością nieubłaganą przeciw powracającemu, aby świat cały był mu wrogiem? Jesteś przecie księdzem, z powołania kapłańskiego powinieneś umieć przebaczyć i czynić miłosierdzie! Nie bądź tak twardym, tak bez serca! Daj się ubłagać i... przebacz!

Głos jej drżał rzewnem wzruszeniem, ale właśnie ten ton łzawy, zdawał się jeszcze utwierdzać Wilmuta w srogości niezłomnej.

— Ty mnie nie będziesz uczyła kapłańskich powinności! — rzekł lodowato. — Mam prawo żądać, aby winny poddał się mojemu wyrokowi, w pokorze, bez żadnych restrykcji! Wtedy tylko może być mowa o zgodzie między nami! Inaczej... nigdy do niej nie przyjdzie!

— Nienawidzisz go! — Anna szepnęła.

— Nie!... Ja go osądzam! A skoro sądu tego uznać nie chce... tem gorzej dla niego!

Młoda kobieta musiała zrozumieć, iż tu wszelka prośba na nic się nie przyda, gdyż odwróciła się blada smiertelnie i upadła bezsilna na krzesło najbliższe. Po dłuższej chwili milczenia, Wilmut do niej przystąpił, a położywszy dłoń ciężką na jej ramieniu, spytał głucho, cedząc powoli słówko po słówku:

— A ty Anno? Czyś wreszcie tę nieszczęsną namiętność zwyciężyła, czy też potrzeba, abym ci odświeżył w pamięci, co się stało dnia owego?...

— Nie! nie! nie mów mi o tem! — przerwała mu z trwogą śmiertelną. — Wiesz przecie, co mnie z baronem rozłączyło, a ten powód dotąd istnieje!

— Istnieje w całej swojej mocy! — ksiądz potwierdził — i biada mu, gdyby spróbował zbliżyć się do ciebie! Będę stał na straży i potrafię cię przed nim zasłonić!

Na ustach Anny pojawił się uśmiech gorżki i bolesny.

— O, z pewnością! Już mnie raz od niego oderwałeś, w czem musiałam ci przyznać słuszność zupełną, ale odtąd lęk mnie bierze na myśl o twojej opiece, za którą w ślad idą łzy i nieszczęście!

— A jednak ja cię tylko uratowałem! Byłby cię opanował i w końcu pokonał wszystkie twoje skrupuły, gdybym ja się nie był wdał w tę sprawę! Bądź jak bądź, jesteś kobietą i w dodatku... kochałaś go!

— Ty zaś Jerzy jesteś sędzią nieubłaganym, skoro idzie o miłość, której pojąć nie możesz, boś nie zaznał roskoszy jak i cierpień wtedy doświadczanych!

Ksiądz skrzyżował na piersiach ręce, a w rysach jego ostro markowanych, odbił się znowu nie wyraz tryumfu, tylko głębokie przeświadczenie o powinności ściśle dopełnionej. Następnie spytał cicho:

— Wiesz-że o tem tak na pewno?

— Na pewno! Tobie przyszło z łatwością zrzec się wszelkich ziemskich marności, składając kapłańską przysięgę, bo i tak żadne ludzkie, czulsze uczucie, nie miało przystępu do twojego serca kamiennego i na miłość w niem miejsca nie było!

— Nie było na nią miejsca, nagabywała mnie jednak, jako pokusa niebezpieczna; bo skoro raz Bogu serce moje oddałem, namiętność grzeszna dla kobiety, była zbrodnią straszliwą! I mnie los nie oszczędził walki rozpaczliwej, z uczuciem całą istność moją przenikającem, umiałem jednak wyjść z niej zwycięsko!

— Tyś kochał Jerzy?! — Anna zerwała się z krzesła, zdziwiona niesłychanie. — Tegom się nigdy nie spodziewała! Ciekawa bym jednak poznać kobietę, która potrafiła ciebie nawet natchnąć czulszem uczuciem!

Wzrok księdza spoczął na pięknej twarzy i włosach o złotym blasku z lodowatą obojętnością.

— Znasz ją doskonale! — odrzucił. — Czy myślisz, iż byłbym cię wtedy puścił w świat szeroki, z pod mojego dachu i skrzydeł opiekuńczych, wystawiając na wszelkie jego pokusy, gdybym nie był uznał za konieczność nieubłaganą rozłączenia z tobą?

Anna spojrzała mu w oczy blada i zmięszana.

— Rozłączenia ze mną?... Jerzy! ty nie mówisz tego na serjo?!

— Dla czego? — spytał Wilmut z całym spokojem. — Wyrosłaś niemal pod mojem okiem i przez długie lata sądziłem, iż mam tylko dla ciebie przychylność nauczyciela i bliskiego krewnego. Naraz spostrzegłem przepaść bezdenną u stóp moich, a w sercu szał dziki, który mi zmysły mącił i w otchłań ciągnął! Zwyciężyłem, bo chciałem zwyciężyć, bo miałem na tyle odwagi, przyłożyć nóż ostry do rany, nie bacząc na ból straszliwy, pierś rozsadzający. Powierzyłem cię opiece panny Hertenstein, z którą przez długie miesiące podróżowałaś i przez co los twój zupełnie inaczej się rozstrzygnął. Wiem, żeś mi dotąd nie przebaczyła, iż korzystałem z katastrofy, żem wyzyskał rozpacz, która cię wtedy ogarnęła, ubezwładniając i zmysły niemal mącąc, aby cię tem łatwiej nakłonić do związku z prezydentem. Prawda, że to małżeństwo było głównie mojem dziełem, ale własne serce złamałem i zdeptałem, błogosławiąc wam przed ołtarzem!

Anna słowa jednego nie odpowiedziała, wpatrywała się tylko na poły z uwielbieniem w tego człowieka jak skała niewzruszonego, który tak samo surowo i bezwzględnie siebie osądzał; tak jak dla innych, był i dla serca swojego bez miłosierdzia, bez najlżejszej wybaczliwości. I mówił o zwycięstwie odniesionem, o namiętności pokonanej z nadludzkim wysiłkiem, tonem tak zimnym i spokojnym, jakby wiek cały upłynął od chwili zapasów śmiertelnych, od owych dni, w których burza szalona sercem jego miotała.

— Dziś wszystko minęło... i przebrzmiało bezpowrotnie — kończył Wilmut — inaczej nigdy bym ci nie był wspomniał o tem grzesznem szaleństwie!.. Chciałem ci tylko dowieść własnym przykładem, co może zdziałać siła woli i poczucie świętej powinności. Czem dla mnie była wielkość przysięgi wykonanej, takim samym hamulcem jest dla ciebie i być musi wina przez tego człowieka popełniona. „Jeżeli gorszy cię oko twoje, wyrwij takowe!“ — mówi Pismo święte... Tych

słów ja się trzymałem... o tych słowach i ty nie zapominaj!

— Jerzy, jesteś przestraszający w twojej wielkości niewzruszonej, niepokonanej! — młodą kobietę dreszcz przeszedł. — Podziwiam ciebie, ale nie potrafię nigdy wznieść się do takiego szczytu ofiary i zaparcia swojego „ja“ własnego!

— To naucz się! — rzekł z naciskiem. — Nie należysz do słabych i twoja wola jest potęgą, byleś chciała użyć jej na prawdę! Niebezpieczeństwo, pokusa, o której myślałem, iż jest na zawsze usuniętą, znowu po raz drugi cię nagabuje, odkąd baron przeniósł się tak blisko od Rosenberg. Oprzesz się wszelkim prośbom i będziesz starannie unikała wszelkiego z nim zetknięcia! Czyś mnie zrozumiała? Żądam tego od ciebie w imię przeszłości, przez pamięć na te płomienie, które wieś naszą w perzynę obróciły!

Anna drgnęła, usta jej kurcz bolesny wykrzywił, nie śmiała jednak sprzeciwić się temu brutalnemu zakazowi, nie śmiała wystąpić w obronie winnego, z cichym jękiem za całą odpowiedź podała rękę kuzynowi. Ta milcząca obietnica zupełnie wystarczała. Wilmut wiedział, iż Anna się kobietą urodziła i umie dotrzymać skoro co raz przyrzekła!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Pożyczana mama.

NOWELLA.

(Ciąg dalszy.)

— *Nil admirari?* — Wacław śmiechem wybuchnął. — O! przeciwnie, używam wszelkich życia roskoszy i bawię się o ile mogę! Muszę atoli wyznać, iż chwile w życiu najmilsze, zawdzięczam moim studjom, polowaniu, a choćby owemu *dolce far niente* z dobrem cygarem w ustach. W towarzystwach naszych, po większej części, nudzę się śmiertelnie!

— Nadzwyczaj dla nich pochlebnie! — Hela wzruszyła litościwie ramionami.

— Wszak panie będziecie jutro na pikniku obywatelskim? — wycedził przez zęby Artur.

— O ile wiem, hrabina bytność swoją na balu obiecała — Hela odrzuciła.

— W takim razie i ja na nim będę. Wprawdzie *c'est assomant* kręcić się w kółko jak za pańszczyznę po dusznej sali, szczególniej dla człowieka, który jak ja, doznawał wielokrotnie wrażeń upajających, polując na lwy, tygrysy i pantery, ale dla przyjemności tańczenia z panią — skłonił się Heli szarmancko — gotów jestem ponieść tę ofiarę!

Hela spojrzała na niego drwiąco, niemal pogardliwie!

— Z kądże pewność, że w ogóle z księciem tańczyć będę?! Jeżeli książę blagę uważasz za coś bardzo dowcipnego, ja z góry oświadczam, iż kompliment w tym tonie wypowiedziany, wydaje mi się po prostu... impertynencją!

— Doskonale! — Wacław pomyślał, ręce z radości zacierając. — A to mu pieprzu nie żałowała!

— Co za śmiałość! — westchnęła w duchu hrabina, drgnąwszy nerwowo, jakby jej kto z nienacka wylał na głowę dzban zimnej wody.

— A to księcia poczęstowała nasza piękna Sanoczanka!—zażartował Wacław, gdy się wieczorem zeszli w kasynie. — Jeszcze się księciu pewno coś podobnego w życiu nie wydarzyło?!...

— Na Jowisza! Nigdy w życiu! Ale jakie to boskie uczucie, być tak wyłajanym! Odświeża, wstrząsa roskosznie nerwami! Tak mi się już okropnie przejadły kobiety, wiecznie wdzięczące się i wszystkiemu potakujące. Ta groźna *Loreley* jest zachwycającą w swojej szczerej prostocie.

Hrabina tymczasem, skoro znalazła się z Helą sam na sam, nie mogła się wstrzymać od ostrej przymówki:

— Zmiłuj się dziecię kochane! Jak mogłaś być wobec księcia tak niegrzeczną! Nasze najpierwsze gwiazdy salonowe, pozazdrościłyby ci niezawodnie komplimentu, wypowiedzianego z całym rycerskim zapałem, przez człowieka, który i słusznie, uchodzi w tym sezonie za najświetniejszą partję!...

— Czy to miał być istotnie kompliment? — Hela wzruszyła ramionami. — Mnie wydał się zuchwalstwem, i wypowiedziałam moje zdanie szczerze i otwarcie. Choćby był Wielkim Mongołem, ja go uważam jako blagiera nieznośnego, który niczem nie zasłużył na reputację, jaką mu oktrojowano. Brzydki, zmizerowany, z miną wiecznie skwaszoną, pozujący na jakiegoś bohatera, do czego niema prawa najmniejszego. W sercu nic, w głowie nie wiele, i to ma być potomek rodu starożytnego? Jakiś wytrenowany żokiej angielski! Mnie bo się wstrętnym wydaje. Czemu ot syn pani, chociaż nosi obce nazwisko, kocha kraj macierzyński, poczuwa się do pewnych obowiązków obywatelskich, pracuje i na wsi i w mieście, czy to zajmując się gospodarstwem, czy też umysłowo, mimo, iż jest i magnatem i bogatym. Taki mężczyzna to wcale co innego!

— Zapewne, zapewne! — matka głową skinęła, udobruchana pochwałą syna ukochanego. — Z moim Waciem nikt bo się równać nie może!.. Zważ jednak, iż książe Artur wielką rolę odgrywa w naszych salonach, sąd jego jest nieodwołalnym, panie go rozrywają formalnie, a twoja odpowiedź mogła go zrazić na zawsze, mogła wywołać gniew jego. Taki wróg mógłby ci wielce zaszkodzić!...

— Myślę przeciwnie, iż dla człowieka tak pochlebstwami zepsutego, musiało to być czemś nowem i nader przyjemnem...

Hrabina głową potrząsła z niedowierzaniem.

— A mnie się raczej zdaje, żeś mu się bynajmniej nie podobała!

— Ależ pani hrabino! Czyż ja mu się chcę podo-

bać?!... Zdanie jego przychylne czy odwrotnie, jest mi najzupełniej obojętnem!

— „Dziwnie się plecie, na tym tu świecie“ — wypowiedziała machinalnie w duchu hrabina ustęp z „Marji“, niedawno jej przez syna zacytowany. — Terenia byłaby powtórzyła, gdyby był utrzymywał, iż słońce świeci o północy, a księżyc zaś w południe! a to dziewczę biedne, nic nie znaczące, stawia mu czoło zuchwale, łaje i ostro krytykuje, nic sobie z księcia nie robiąc! Zagadka psychologiczna nie do rozwiązania!

Jak widzimy, zaczęły się na nowo troski i zgryzoty matki *in partibus*, wzrosły atoli do najwyższej potęgi, gdy usłyszała nazajutrz, podczas balu, frazes pełen jadu pani Kunegundy, który niby to na ucho komuś innemu, dość jednak głośno wypowiedziała, iżby mogła hrabina Laura słowa jednego nie utracić.

— Ta Lorcia najpoczciwsza, już znowu ładnie się ubrała! Szaperonuje jakiejś na w pół dzikiej „emancypantce“, do tego, jak to mówią: „ni z pierza, ni z mięsa“ córce owej starej warjatki Fruzi S., co to poślubiła w roku sześćdziesiątym trzecim furfanta, uciekiniera! awanturnika najgorszego! I taka marmozela jeszcze coś udaje i chciałaby niemal światu imponować! Doprawdy, arogancja nie do zniesienia!

Hrabina bała się okropnie opinji. Pani Kunegunda zaś, bardzo wprawdzie złośliwem, ale zawsze była wiernem tejże echem. Z drugiej znowu strony, sercu jej poczciwemu wydawało się krzyczącą niesprawiedliwością, żeby kazać dziecku niewinnemu pokutować za szaleństwo matki i ojca wybryki awanturnicze. Czemuż nie miała użyć cokolwiek, bodaj przez jeden sezon swojej młodości, która zwiędnie prędko, jak kwiat mrozem zważony, w ciężkiej pracy zawodu nauczycielskiego? A nuż jej się uda podbić księcia Artura? Jakiżby to był tryumf wobec pani Kunegundy! Tak jej nadskakuje, tak jest od niej nieodstępny. Może właśnie losu pieszczocha zajmuje i pociąga jej srogość i nieprzystępność? Kto wie, czy nie użyła taktyki najzręczniejszej, aby poddało się to serce motylkowate i jak Gibraltar niezdobyte?! Przed oczyma hrabiny, przymkniętemi roskosznie, majaczyła już główka złotowłosa jej pupilki, mitrą przystrojona.

— Czarującą, zachwycającą jest ta dzika róża gór naszych! — wołał z zapałem książe Artur nazajutrz po balu, podczas jakiejś wesołej kolacyjki męzkiej. — Tańcuje jak sama Terpsichora! Rezonuje najzabawniej w świecie. Istny filozof z postacią rusałki roskosznej i zmysły odurzającej. Co to za kontrast, tak fizycznie, jak i moralnie, z księżniczką Teresą. Tam cień nocy na głowie, tu wszystkie słońca złote promienie; tam sztuka, tu natura; tam wieczna obłuda, tu prawdy zamiłowanie, doprowadzone co prawda do granic ostatecznych. Z tamtą można było na tydzień cały program ułożyć, co powie, kiedy się uśmiechnie; u tej spotykają cię co chwila najmilsze w świecie niespodzianki! Zachwycająca! *parole d'honneur*!

— Waciu kochany — zaczepiła syna pani Laura nazajutrz po balu. — Czy nie uważasz, jak książe coraz więcej w Heli zakochany?

— Mama ma dziwne o mnie wyobrażenie — ściągnął Wacław niecierpliwie ramionami. — Nie jestem przecie starcem niedołężnym, żeby zajmować się wyłącznie drugimi, i patrzeć, kto której z naszych piękności asystuje!

— Mógłbyś mi przecie cokolwiek dopomódz.

— Prosiłem już tyle razy drogą mamę, żebyś raczyła mnie uwolnić od spraw podobnych. Że nie mam talentu do małżeństw kojarzenia, dowód najlepszy, iż sam się dotąd nie wyswatałem. Jakiem prawem mięszałbym się do przyszłości panny Heleny? Zresztą jest to dla mnie sprawa zupełnie obojętna.

— Nie rób się gorszym, niż jesteś. Wiem, że z przywiązania do mnie, interesujesz się Helą. Jak tu kiedyś słuchałeś uważnie, gdy ci góry swoje opisywała, z zapałem i łzą tęsknoty w oku, a następnie biegałeś po wszystkich księgarniach, pókiś jej nie przyniósł albumu z widokami gór sanockich, aby cokolwiek tęsknotę jej ukoić. No! a ta druga niespodzianka, z matki jej fotografją, czyż nie świadczy również o twojem sercu najlepszem? Skarżyła się, że ma tylko malutką matki fotografję w medaljonie. Wykradłeś mnie z albumu taką samą, kazałeś odbić w wielkości naturalnej, i w pięknych ramach rzeźbionych zawiesiłeś cichaczem, gdyśmy do miasta wyjechały, nad Helki biurkiem. Aż się z radości wielkiej rzewnie rozpłakała. Jesteś najlepszym, najprzywiązańszym z synów! Wiesz co?! Dobrze robisz, że się nie żenisz. Doprawdy, nie znam kobiety, którąby ciebie wartą była!

Na tej, nie bardzo pochlebnej konkluzji dla płci swojej, zakończyła hrabina dnia tego rozmowę z synem, gdyż właśnie weszła Helena do budoaru.

Odtąd książe snuł się jak cień za dwiema paniami, gdziekolwiek się obróciły. Hrabina nie posiadała się z radości, Helena przyjmowała księcia nadskakiwania zimno i obojętnie, co tem gwałtowniej miłość jego rozpłomieniało.

— Jak ta Hela umie w szachu księcia trzymać — hrabina znowu na jakimś wieczorze, zwróciła się do Wacława ze swojemi spostrzeżeniami. — Zręczna filutka! Nibyto nie zważa, nie słucha tamtego, ku tobie zwracając się wiecznie z pytaniami... Znamy się na tem!...

— Oh! ja wiem, że mateczka w sprawach podobnych jesteś niemal jasnowidzącą — syn uśmiechnął się cokolwiek ironicznie. — Gdyby to jednak nie było kokieterją u panny Heleny?... Gdyby na prawdę księcia wcale sobie na męża nie życzyła?...

— Waciu! Nie przyprowadzaj mnie do rozpaczy!— hrabina podniosła na mówiącego wzrok przerażony. — Tak szaloną może nie będzie! Tylko ty nie bierz tak na serjo jej wybiegów strategicznych i nie stawaj zawsze i wszędzie księciu na zawadzie. Czas wielki, żeby się raz oświadczył stanowczo.

Tego wieczora, gdy obydwaj panie wsadzali do po-

wozu, a książe o dziwną troskliwością otulał futrem nóżki Heli, Wacław zmierzył go okiem tak ponurem i wyzywającem, iż zwykle apatyczne książątko poruszyło się tym razem, i gdy powóz się oddalił, zagadnęło znienacka bardzo uszczypliwie:

— Czy i ty hrabio wpadłeś w sidła tej *Circe* roskosznej a niebezpiecznej? Uprzedzam cię jednak, że w mojej kniei polować niepożytecznie, a nawet... niebezpiecznie!...

— Daruj książe — Wacław z dumą się wyprostował — ale nie umiem sobie słów jego wytłómaczyć. O tem tylko mam zaszczyt go zapewnić, iż gdyby mi się zwierzyna w księcia kniei na prawdę podobała, nie uląkł bym się stanąć z nim w szranki!

Rozeszli się, nawzajem lekko głową sobie skinąwszy.

— Rywal wielce niebezpieczny!... - mruczał książe pod nosem, wracając do domu. — Głupia szlachcianeczka widocznie go zresztą preferuje!... Hrabina atoli za mną będzie. Ha! trzeba się oświadczyć jak najprędzej! Ta dziczka górska, furą siana do głowy mi zajechała! O tem przecie mowy niema, żeby mnie, miljonowego pana i księcia do tego, śmiał kto na świecie koszem obdarzyć!

(Dokończenie nastąpi).

NIEBEZPIECZNA.

(Ciąg dalszy)

W sali opery mniejszy zawód spotkał Raoula. W świetle gazowem, w blasku pereł i brylantów, w strojach mocno dekoltowanych, legjon żeński bronił się lepiej i wychodził niemal zwycięzko. Zmarszczki nikły, rysy drobniały, oczy promieniały zachwytem, w tej atmosferze gorącej i pełnej woni odurzającej.

Raoul wściekły dziś rano, teraz przyznawał niektórym pięknościom pewne przymioty, i nie był już dla nich takim sędzią ostrym i nieubłaganym. Czuł się tylko mocno znudzonym. Było to zniechęcenie zbieracza autentyków, który przekonuje się, iż brał kopje nieżłe za doskonałe oryginały, i ziewa przechadzając się pomiędzy swojemi zbiorami.

Jakiś dziwny stan go opanowywał, gdy usiadł w fotelu w amfiteatrze. Coś go dusiło, dech w piersi zapierało, oczy niby mgłą zachodziły, gdy lornetował loże jedną po drugiej. Nie było to przeczucie nerwami wstrząsające, iż ujrzy cel pragnień gorączkowych, raczej tęsknota rozstrajająca, że jej w całej sali nie znalazł. Drgała więc w nim struna tajemna na wspomnienie tej kobiety, jak drży gałąź na pół złamana, za lada wiatru podmuchem, choć drzewo całe stoi niewzruszone.

Wierzył dotąd, iż to tylko nerwów podniecenie chwilowe, przez drażniącą jego ciekawość tajemnicę. Trzeba więc czemprędzej rozwiązać dręczącą go zagadkę, aby pozbyć się tej drażliwości chorobliwej. To też z niecierpliwością gorączkową obchodził loże, gdzie tylko spostrzegł twarze znajome.

Podczas pierwszego przestanku pomiędzy aktami, pojawił się w loży hrabiny de Loccaria, jako kuzynek w stopniu dwudziestym piątym margrabianki Bouchard de Chazel d'Anjou. Na pół wykluczona z wyższego towarzystwa przez mezaljans z jenerałem de Loccaria, brygadjerem za rządów Ludwika Filipa, jenerałem dywizji za drugiego cesarstwa, umiała wśliznąć się napowrót w kółko najściślejsze Faubourg Saint-Germain przez wązkie drzwiczki zakrystji. Wiedziano, iż jest wierną katoliczką i najgorliwszą w spełnianiu miłosiernych uczynków. W oczach Raoula popełniała grzech, a raczej śmieszność nie do darowania: miała manję szczególną nazywania go: „moje drogie dziecię!“ W ustach wdowy po jenerale, ozdobionych lekkim czarnym wąsikiem — na pamiątkę i jako znak żałoby po nieboszczyku — to nazwanie poufałe dojrzałego mężczyzny było niezrównanem! Na dobitek wdzięczyła się do niego jak niewiniątko, wymawiając słowa sakramentalne. Tym razem atoli Raoul poszedł śmiało w ogień i ani drgnął, ani okiem nie mrugnął, gdy wdówka zawołała:

— To dziecię kochane!... A witaj że nam, witaj kuzyneczku!... Rzadki z ciebie ptaszek!...

W loży było więcej wdów po wojskowych niższych stopni, gdyż w poczuciu swojej godności hierarchicznej, jenerałowa otaczała się chętnie podwładnemi, niby rodzajem dworu; otóż te damy przyboczne spojrzały na Raoula prawie z oburzeniem. Wytrzymał walecznie i te pociski kilku par oczu naszpicowanych niby strzały Partów zatrute i wytłumaczył się najgrzeczniej. Jeżeli mało go widziano w salonie jenerałowej w ostatnich czasach, to jedynie z powodu, iż dotrzymywał stryjowi towarzystwa. Baron czuł się trochę cierpiącym, potrzebował więc mieć kogoś przywiązanego obok siebie. Obecnie ma się lepiej, nawet odmłodniał. Jenerałowa skrzywiła się jak po gorzkiej pigułce.

— Czyż baron może się więcej zestarzeć?... Jest jak grzech, starym i młodym jednocześnie... Szkoda o nim i mówić!... Wolterzysta!...

Raoul próbował go bronić. Stryj miał serce jak najlepsze, w końcu przecież łaska boża go oświeci!

— Oh! — potrząsła miłosiernie głową jenerałowa. — „Pomóż sobie, a Bóg ci dopomoże.“ Trzeba koniecznie stawiać na loterję, aby los wielki wygrać.. A w szufladkach od biurka barona, gdy będziesz płakał po jego stracie — jest to tylko przypuszczenie moje dziecię drogie, bo co do mnie, jestem przekonaną, że szatan jest nieśmiertelnym — otóż gdyby baron umrzeć potrafił, znajdziesz same papiery bankowe i kupony od tychże, ale ani śladu najlżejszego, iż ofiarował Panu dziesięcinę. Sceptyk! Niedowiarek do szpiku i kości!... Frèzel, jednem słowem!... Ty bo dziecię kochane w matkę się wdałeś na szczęście, a matka twoja była iście świętą!...

Wszystkie wdowy przymknęły oczy pobożnie i potwierdziły ruchem rąk i głowy, jakby znały doskonale ową świętą, dotąd w poczet nie zapisaną, a która była matką Raoula. On trzymał się ostro, czekając na zaproszenie, które też niebawem nadeszło.

— Cieszę się szczerze moje drogie dziecię, żeś mi się zjawił. Chciałam właśnie pisać do ciebie. Jutro u mnie przed objadem wielkie zgromadzenie... ulica Verneuil... spodziewam się, że trafisz przecie... Sam kwiat towarzystwa!... Nieprawdaż panie kochane? Kilku młodych ludzi, dobrze urodzonych, nie zawadzi... będą nawet pożądani. Powtarzałam sobie od wczoraj: kuzyneczek Frèzel, powinienby uczestniczyć w zebraniu koniecznie!...

— Będę najszczęśliwszym! — skłonił się Raoul.

— A więc jutro przed trzecią...

Odchodzącego wstrzymała na progu loży.

— A wiesz dziecię drogie — wzniosła oczy w niebo z namaszczeniem — obiecał mi się na pewno biskup Antjopolitański!...

Wyszedł nareszcie w zadumie pogrążony. Nie szło mu, ma się rozumieć, o widzenie biskupa in partibus i nie dla tego przyjął zaproszenie. Hrabina przedtem wspomniała, iż zbierze się sama śmietanka Faubourg Saint-Germain.

— Uczynek miłosierny!... Tem lepiej! — szepnął.— Ona musi lubić uczynki miłosierne, skoro nie bała się wmięszać w tłum różnorodny, który podczas wenty w salach klubu się zgromadził.

Gdy przechodził przez korytarz, aby dostać się na swoje miejsce, potrącił niemal o młodzieńca bardzo słusznego, chudego jak dżokiej wytrenowany, o rysach zmiętych, wymokłych, z włosem rzadkim i jak len jasnym na głowie.

— Ach! to ty Frèzel! — nieznajomy otworył ramiona do uścisku, z radością niekłamaną. — Jakżem szczęśliwy, że cię spotykam!

Przypomniał go sobie nareszcie. Był to jego najlepszy przyjaciel z kolegjum OO. Augustynów, Jerzy de Tilleuls, jeden z tych towarzyszy, bez których zdaje nam się, iż byśmy się obejść nie potrafili, a którzy zacierają się najzupełniej w naszej pamięci, skoro na wolność wypuszczeni, z oczu ich tracimy.

— To ty Jurciu? Cóż się z tobą dzieje?

Jerzy de Tilleuls opowiedział dzieje swoje szczegółowo.

Służył on w marynarce, a teraz wraca prosto z Kochinchiny, aby zaślubić pannę prześliczną, wnuczkę sławnego Dumont-Desmousseaux, który za panowania Ludwika Filipa zrobił majątek jako liwerant.

Był uszczęśliwiony z małżeństwa, ale wściekły na całe Faubourg Saint-Germain.

— To stare bydło! — wołał z naiwną szczerotą marynarza. — Partja miljonowa... przyjeżdżam umyślnie z Kochinchiny, aby ją drugim sprzątnąć z przed nosa, ogłaszam z dumą mój tryumf lubej familijce, a ci hajżeba! na mnie... że to hańba!... że to mezaljans! że się mnie wyrzekną... i tym podobne androny!... Zgłupiałem z kretesem!...

Raoul z pewnem wahaniem, bąknął słów kilka pociechy, że nie trzeba znowu tego brać tak bardzo do serca!... Gdy małżeństwo zostanie zawartem, zapory się usuną, fakt spełniony umysły wzburzone uspokoi.

— Dobrze tobie mówić! — westchnął Jerzy — ale tymczasem nie mogę znaleźć drużby! Znam rodzinę mojej narzeczonej. Będą wściekli, jeżeli nie przyprowadzę na drużbę choć jednego z naszych.. Frèzelciu, kochanie!... Zrób mi tę przysługę!...

W pięć minut później wziął słowo od Raoula, iż mu będzie drużbował. Cofnąć się było niepodobieństwem. Zresztą, pominąwszy koleżaństwo, czynił to Raoul z pobudek czysto samolubnych. A nuż piękna nieznajoma należy do Faubourg Saint-Honorè? I tam znajdują się damy, równie wykwintne, równie arystokratyczne, jak i po lewym brzegu Sekwany.

Ślub jednego z Tilleulsów — ród wielki! — z panną Dumont-Desmousseaux, przyciągnie całą partję orleanistów. Nie zaszkodzi i tam sieci zapuścić.

Nazajutrz doznał miłego wrażenia, wchodząc do salonu kuzynki. Kółko arystokratyczne było dobrze obsadzone; hrabina de Loccaria umiała układać artystycznie swoją żardinierkę. Daremnie jednak Raoul przechodził z salonu do salonu, nie napotkał twarzy nieznajomej, a tak mu pamiętnej pięknością dumną i spokojną. Gdy powrócił z wycieczki do głównego salonu, spostrzegł postać pełną powagi uroczystej, z długą brodą, we fioletach, otoczoną całym tuzinem malców murzyńskich. Był to biskup Antjopolitański.

Jenerałowa słowa we wszystkiem dotrzymała. Przed biskupem stała urna, która Raoula zaciekawiła. Wkrótce znalazł rozwiązanie zagadki. Biskup sędziwy wyrwał z ciemnoty bałwochwalstwa tuzin Murzynków, teraz miano wyciągać z urny parami chrzestnych rodziców tych aniołków koloru sadzy rozpuszczonej. Nazwisko Raoula wyszło z urny najpierwsze.

Być ojcem chrzestnym Murzynka! Gdybyż mu choć dodano kumcię ładną i młodą!...

Ale los figlarz złączył go z baronową, która nawet do kwiatów jesiennych, mimo całej francuskiej elegancji, nie mogła być zaliczoną. Byłby zniósł męki piekielne, maszerując wzdłuż nawy w kościele Św. Sulpicjusza, ze staruszeczką zgrzybiałą, uwieszoną u jego ramienia, gdyby nie ożywiała go nadzieja, iż odszuka nieznajomą w tym tłumie, który zbiegł się, aby zobaczyć, jak czarne dusze Abisyńczyków, staną się nagle niby śnieg bielutkiemi. Z tego to powodu niósł głowę wysoko i odpowiadał spojrzeniem dumnem i rezolutnem, na drwiące cokolwiek uśmiechy, igrające na ustach jego ściślejszych znajomych. I znowu zawiodła go błoga nadzieja!

Nieznajomej nie było w kościele. Nie skorciło jej widocznie to wielkie pranie dusz murzyńskich.

Tenże sam zawód spotkał go na ślubie Jerzego de Tilleuls. Kolonja Filipistów zgromadziła się tłumnie,

nieznajoma nie musiała atoli do nich należeć, i Raoul nie miał tej pociechy, aby spojrzenie na wskróś przenikające oczów promienistych, wynagrodziło mu nudy, połączone z drużby urzędowaniem. Znowu odbył pańszczyznę bez żadnej nagrody.

Drużbowanie pociągnęło za sobą skutki najnieprzyjemniejsze i najmniej przewidziane. W dni kilka po ślubie, dwóch młodych ludzi, pokłóciło się o tę właśnie sprawę. Przyjaciel rodziny Dumont-Desmousseaux utrzymywał, że Jerzy w czepku się urodził, skoro mu się udało zrobić tak świetną partję, przeciwnik zaś nazywał ten czyn haniebnym mezaljansem. Pojedynek stał się nieuniknionym. Poproszono Raoula na sekundanta. Czyż mógł odmówić, nie zadając kłamu samemu sobie?! Dwaj zapaśnicy nie chcieli bić się we Francji, wyjechali zatem do Szwajcarji.

Klient Raoula miał ramię szpadą przebite. Nie można go przecie było opuścić rannego. Wracano zwolna, przez dni kilka. Raoul otoczył chorego staraniem najtroskliwszem. W głębi duszy atoli oburzał się na ową nieznajomą, której wspomnienie dręczące bezustannie, skłoniło go w przeciągu dni kilkunastu, do przyjęcia na siebie ról i obowiązków tak różnorodnych i tak dziwacznych.

Gdy przechodził w myśli wypadki rozmaite, czuł zmęczenie niesłychane. Miał rodzaj zawrotu głowy, jakiego doświadcza dzieciak, gdy go puszczą na koniku drewnianym w karuzelu, w wir szalony a bezcelowy, i gdy odurzony nie śmie zsiąść, aby dotknąć się raz ziemi. Nie miał nawet tej pociechy, żeby wahać się w rozsądzeniu, czy to, co doświadczył, było trudem lub też przyjemnością? Nosił w sobie ciężar nadto wielki, był złamany, przybity, nie mógł więc pozostać w niepewności. W takiej to chwili znużenia śmiertelnego, gdy wchodził wieczorem do sali gry w klubie, aby w tej ciężkiej atmosferze uspić niejako i ubezwładnić swój humor najgorszy, spotkał się nagle oko w oko ze stryjem. Baron kończył właśnie rachunek w Baccarat z bankierem i mieniał sztony wygrane na monetę brzęczącą.

Rozliczywszy się wziął bratanka pod ramię i zaprowadził do czytelni próżnej jak wymiótł!

— Spodziewam się, iż nie myślisz grać dzisiejszego wieczora?... Zgrałbyś się do nitki! wierzaj mi!... Od dwóch tygodni stałeś się w klubie niewidzialnym.... mówiąc jednak otwarcie, roskosz prawdziwa, na co używasz wakacyj, które wziąłeś, nikomu nic nie mówiąc! Dzienniki tobą tylko zajęte. Możnaby nawet ułożyć całe album z pięknemi illustracjami z twojej *Odyssei*... Raoul de Frèzel drużbuje Orleanistom... Raoul de Frèzel trzyma do chrztu małego Abisyńczyka... Raoul de Frèzel ugania po świecie i ofiaruje swoje usługi dwom nieznanym nikomu włóczykijom, którzy pragną puścić sobie trochę krwi nawzajem.... Winszuję, ale nie zazdroszczę!.... Fiu, fiu! szyk wielki!...

— Oh! stryjaszku — westchnął Raoul z całą szczerością — gdybyś wiedział, jak mnie to wszystko znudziło!...

Baron spojrzał bystro w oczy ostatniemu de Frèzel.

— Nie znalazłeś zatem tej, za którą latasz z taką niezmordowaną gorliwością?...

Raoul, który rzucił się był na sofę, na pół leżąc ze zmęczenia, zerwał się na równe nogi jak oparzony.

— Co?... Jak!... Kogoż to ja szukam?...

— Powoli, powoli... nie irytuj się!... nikt mi nic nie powiedział... jest to z mojej strony tylko przypuszczenie.. ale z rodzaju tych pewników, jak dwa a dwa — cztery. W twoim wieku, skoroś dotąd nie zdradził namiętności do szpargałów zapleśniałych i starych, podrobionych świeżo autentyków i oryginałów, nie lata się po świecie skacząc z miejsca na miejsce jak wiewiórka, chyba szukając czegoś... lub goniąc kogoś.

Raoul głowę spuścił.

— Prawda stryjaszku... właściwie... tak było... ale już nie jest... Nie szukam dłużej.. bo i na cóż?!...

— Ba! nie miałeś więc rysopisu dokładnego?... Że się kobiety gubią w Paryżu, to rzecz wiadoma! Odszukują się jednak zawsze... częstokroć nawet w liczbie pomnożonej!

Bratanek barona rzucił się niecierpliwie. Ale jak tu się gniewać? Stryj przemawiał jak prawdziwy koleżka, z wylaniem najczulszem. Zresztą, tak pragnął wygadać się z tem, co go uciskało!

— Jak ją opisać stryjaszkowi?... Widziałem ją chwilę przelotną... Wysunęła się z cieni nocnych... i w mgle się rozwiała.

— Aaaa!... — baron machnął ręką z drwiącym uśmiechem. — Więc to kobieta, którą noc rodzi, a zmrok pochłania?... Jednem słowem, zjawisko fantastyczne, wyskok podnieconej wyobraźni!... Uspokój się chłopcze kochany! O ile pamiętam, piłeś dnia tego dużo szampana... była to zatem prosta halucynacja!

— Tak sądzisz stryjaszku?...

— Ależ jestem tego pewny! Anioły, ulatniające się Sylfidy, czyste urojenie!... Wierz mojemu staremu doświadczeniu. Znam kobiety smarzące konfitury i ciasta wybornie wypiekające. Są to poczciwe, dobroduszne gosposie... Jest Mięszanina... No, te znasz na wylot, jak i ja; wiesz, że trzeba o nich zapomnieć, z ostatnim kąskiem indyka truflami nadziewanego i z ostatnią szklanką szampana, którą się z niemi pospołu wypiło w osobnym gabinecie u Frères Provenceaux, lub gdzie indziej. Są kobiety bas-bleu, które potrafią zapełnić ośm bitych stronic codziennie, i jeszcze na boku wzdłuż dopisują, czego w liście nie pomieściły. Te mogą nabawić młodzież chorobą nowego rodzaju: pióro- i atramento-wstrętem, i obrzydzić raz na zawsze styl epistolarny... Zostają wreszcie młode dzieweczki w sakramentalnej, białej sukience i różowej przepasce: kolor miłości na bezbarwnej czystości i niewinności... Z pomiędzy tych najlepiej wybierać żony, lub zachować je na przyszłość jako zamężne, lube, naiwne kuzyneczki. Niema atoli kobiet w mgle znikających, istot idealnych, kropel rosy skrystalizowanych, o kształtach niepewnych zjawiska nadziemskiego. Bo i proszę ciebie, na co

by się mogły przydać takie kobiety, gdyby istniały?... Ale na szczęście nie istnieją... Śniło ci się i basta!...

— Może — bąknął Raoul wpół serjo. — W każdym razie jeszczem nie całkiem obudzony...

Baron wzruszył litościwie ramionami.

— Prawie nie wychodzisz...

— Ależ nigdy mnie w domu nie ma!

— Tak, zawsze jednak obracasz się w kole zaczarowanem... Od dwóch tygodni gonisz za cieniem twojej bujnej wyobraźni... Chodź ze mną do hrabiny de Gouix... Mówiąc prawdę, czekają na ciebie z otwartemi ramionami... jednocześnie i mnie tem sprawisz przyjemność. Do djabła! możesz przecie przynieść tę drobną ofiarę stryjowi i względom prostej, światowej przyzwoitości! Spróbuj wyrwać się...

— W rzeczy samej! — mruknął Raoul — potrzebuję wyrwać się gwałtem!... No, zresztą... jeżeli to ma poskutkować.... Kiedyż idzie się do hrabiny de Gouix?... Niczego jest... wcale przystojna... widziałem ją na owym sławnym chrzcie Abisyńczyków... ręce tylko trochę jeszcze czerwone...

— U pani de Gouix?!...

— Ależ nie!... u Matyldy!...

— Ah! tak?... Myślałem, iż nagle mamę chcesz znowu nadto odmładzać... Chociaż przy świetle, kobietka dotąd śliczna!... A więc słowo dane... jutro przed ósmą zabieram cię na wieczór muzykalny do hrabiny de Gouix... Tylkoż mi nie wytnij kominka!... zapowiem cię dziś jeszcze.

III.

MAŁE NÓŻKI.

— Uczennica Marmontela. Tak, tak baronie! Dziwi pana zapewne, iż dziewczynka wychodząca z Sacré-Coeur, ma uderzenie tak delikatne, tak artystycznie odcieniowane, jak by była premiantką uwieńczoną w konserwatorjum. Te siostry bogobojne, nie cofają się przed najwyższemi ofiarami. Biorą najlepszych profesorów, sztuki piękne są u nich uprawiane z taką gorliwością, jakby się słyszało rajską muzykę. Powierzamy im niesforne dzieciaki, one nam oddają aniołki prawdziwe!

— W rzeczy samej — bąknął Raoul odurzony słów potokiem, płynącym z ust trochę za pełnych pani de Gouix — gra czarująca... uderzenie miękkie i wiele rzewności.

— Ta ballada Chopina prześliczna! — zaczęła na nowo pani de Gouix. — Ah! niemasz jak Chopin... czujemy się podniesieni duchowo, jacyś lepsi, słuchając go...

A zwróciwszy się nagle do barona starszego, który w cienu ukryty i wciśnięty w róg miękkiej sofeczki, drzemał po trochę:

— Lubisz Chopina baronie kochany? — zawołała.

– Uwielbiam, droga pani!...

Baron wyciągnął się nieznacznie, i przetarł oczy. Lubił co prawda Chopina za to najwięcej, iż tak mu się przy jego cichych dźwiękach drzemało przewybornie!

— Jeden bym mu tylko zarzut zrobiła — westchnęła pani de Gouix. — Nie był dość religijnym... Namiętności jego były czysto ziemskiej natury... Główna to wada naszego wieku... Ludzie genjalni nie umieją być wdzięczni Bogu za dary, któremi hojnie ich obsypuje... Ich talentom brakuje wzniosłego Sursum-corda!

— Są wyjątki — Raoul odrzucił tonem uroczystym. — Gounod jest pobożnym.

— Tak — pani de Gouix głową skinęła. — Gounod jest szczerze religijnym!

Nic już na to nie odpowiedział. Z uśmiechem stereotypowym na ustach, nie licującym bynajmniej z czołem dwoma grubemi zmarszczkami przeoranem, przypatrywał się w głębokiej zadumie młodej panience, grającej balladę Chopina, na olbrzymim fortepianie Erarda. Suknia kremowa, wstążką różową przepasana, była nadzwyczaj wązka, krótka, gładziuteńka, istny ubiór pensjonarki. Nóżka mała, zgrabna, ładnie obciśnięta bucikiem wysokim, atłasowym, biegająca po pedałach, odkrywała w tym szybkim ruchu część wierzchnią prawie do podwiązek, ładnie już wypełnioną i zaokrągloną, w białej, cieńkiej pończoszce, doskonale wyciągniętej. Całość toalety, dobra dla dzieciaka, nie licowała bynajmniej z kształtami mocno rozwiniętemi dziewicy, i z biustem wspaniale rozkwitającym.

Ta panna dorosła, której kazano gwałtem dziecko udawać, była Matyldą de Gouix. Raoul wpatrywał się w nią osłupiały. Podczas wenty mógł tylko studjować twarzyczkę piękną, o rysach regularnych, drobnych, z wyrazem dumy arystokratycznej, rozwiniętą nad wiek, co zdarza się zwykle w rodach starożytnych, żadną przymieszką krwi pospolitej nie znieważonych. Resztę kształtów okrywał stół i kosz z kwiatami. Tego wieczora uderzyła go dziwaczność jej stroju, kłócąca się z przedwczesnem rozwinięciem. Dziwił się swojej roli konkurenta in spe, w obec tych spodniczek wązkich i krótkich... Pytał sam siebie, po co tu przyszedł...

Po co?! Bo był znudzony, zniechęcony w najwyższym stopniu!... Uwagi stryja padły więc na bujne pole.

Śnić mu się nie śniło! Słów kilka, rzuconych od niechcenia przez nieznajomą, dzwoniło mu dotąd w sercu i w uszach. W oczach mu stał ten profil dumny, ten biust wspaniały, niby dłutem Canowy z marmuru kararyjskiego wykuty. Na zjawisko nadziemskie była to postać za nadto pełna, imponująca, krwią gorącą pulsująca. Nagle jednak pomyślał:

— Była to najpewniej cudzoziemka, kobieta z wielkiego świata, ale nie Paryżanka, chciała więc pokosztować owocu zakazanego, a przynajmniej nie pojawiającego się na jej horyzoncie, i wzięła udział w Wencie na cele dobroczynne; tonąc na chwilę w Mięszaninie, miała niemal pozór swawoli. (C. d. n.)

Redaktor - Wydawca: W. Maniecki.